Nr. 2. We Lwowie, czerwiec 1921. Rok LII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W czerwcu **wolno polować** tylko na rogacze.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA" znajduje się przy ul. **Mickiewicza l. 6**. Godziny urzędowe dla stron od 6—7. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca". Rękopisów Redakcja nie zwraca.

XX Zjazd łowiecki odbębie się 11. czerwca b. r. Walne Zgromadzenie w sali kasyna narodowego (ul. Mickiewicza l. 6.) o godz. 9. Strzelanie premiowe rozpocznie się o g. 2·30 po południu na Strzelnicy wojskowej. Wydział uprasza członków o jaknajżywszy współudział w obradach i w strzelaniu. Program strzelania podajemy poniżej.

Porządek dzienny Walnego Zgromadzenia:

1. Zagajenie,
2. Odczytanie protokołu z ostatniego Zjazdu,
3. Sprawozdanie czynności Wydziału,
4. Sprawozdanie komisji rewizyjnej,
5. Preliminarz na rok 1921,
6. Wybory członków wydziału,
7. Wnioski członków.

INZ. STANISŁAW KUBIŃSKI.

Fizyka strzelca.

(Ciąg dalszy),

Proch austryjacki wojskowy, rosyjski i francuski dają ciśnienie około 2800 atmosfer, niemiecki 3500 atmosfer, włoski 4000 atmosfer. Po eksplozji prochu jest przestrzeń, którą wypełniał, wypełnioną gazem o temperaturze dochodzącej do 3000° a o ciśnieniu wynoszącem prawie 4000 atmosfer. To ciśnienie wyrzuca kulę z lufy, pokonując opór tarcia kuli o lufę i opór bezwładności kuli. Opór bezwładności kuli, jest to innemi mówiąc słowami opór, jaki kula stawia gazom, które starają się ją z lufy wyrzucić, wyprowadzając ją ze stanu spoczynku i nadając jej szybkość taką, jaką będzie posiadała w chwili opuszczenia lufy, szybkość zwaną początkową. Opór bezwładności jest związany z materją, jest jej fizyczną własnością. Aby jakiś przedmiot nieruchomy, naprzykład kulę bilardową popchnąć i wprawić ją w ruch, trzeba użyć pewnej siły. Ta siła musi być tem większą, im większą prędkość chcemy nadać kuli. Im dłuższy czas siła działała, tem większej szybkości nabierze kula, podobnie im większą będzie siła a im mniejszą masa kuli, tem większą będzie jej szybkość. Na wprowadzenie kuli w ruch, na przyspieszenie jej szybkości od stanu spoczynku do pewnej określonej wielkości, jest potrzebne wytworzenie pewnej siły, działającej tak długo, jak długo trwa przyspieszanie ruchu. W chwili gdy siła przestaje działać, prędkość kuli już nie wzrasta, lecz utrzymuje się tak długo w osiągniętej wartości, dopóki opory zewnętrzne (opór powietrza lub natrafionej przeszkody) nie wstrzymają jej pędu. Rachunkowo są związane te wielkości w sposób następujący. Wielkość siły „S" obliczamy z jej skutków t. j. z przyspieszenia „p", jakie nadała masie „M" działając na nią.

1) $S = M \times p$. gdzie masa „M" równa jest ilorażowi ciężaru kuli „k" przez przyspieszenie ziemskie (9·81 m.).

Więc $M = \frac{k}{9{\cdot}8}$;

Przyspieszenie kuli pod działaniem siły „S" obliczymy na podstawie przyjęcia, że ruch kuli jest ruchem jednostajnie przyspieszonym, to znaczy, że szybkość wzrasta w równych odstępach czasu o równe wielkości. Oznaczywszy przez „c" szybkość kuli w chwili, gdy siła przestała działać, więc „szybkość początkową", przez „t" czas przez jaki siła działała, a przez „p" przyspieszenie, otrzymamy drugą zależność matematyczną 2) $c = p \times t$.

Oznaczywszy nakoniec przez „d" długość drogi, wzdłuż której siła działała na kulę (a więc długość lufy), otrzymamy trzecią i ostatnią formułkę matematyczną:

3) $d = \frac{1}{2}\, p\, t^2$.

Na podstawie tych wzorów możemy łatwo obliczyć, jakie ciśnienie musi istnieć w lufie podczas strzału, by nadać kuli ważącej „k" gramów szybkość początkową „c". Dla przykładu przeliczmy, jakie ciśnienie panuje w broni o kalibrze 8 mm. gdy kula z niej wystrzelona o wadze $k = 20$ gramów posiada szybkość początkową $c = 600$ m/sek. Długość lufy „d" = 45 cm. Należy pamiętać, że we wzory podane powyżej należy wstawiać wartości w metrach, sekundach i kilogramach. Ze skonbinowania wzoru 2 i 3 znajdziemy $d = \frac{1}{2} ct$. Stąd mając „d" i „c" znajdziemy czas w jakiem kula przebiega lufę $t = 0{\cdot}0015$ sek.

Teraz ze wzoru 3 znajdziemy przyspieszenie kuli

$$„p" = \frac{2\,d}{t^2} = 400.000 \text{ m/sek.}^2.$$

Zatem ze wzoru 1 znajdziemy siłę

$$S = \frac{0.020}{9{\cdot}81} \times 400.000 = 816 \text{ kg.}$$

Aby więc kuli ważącej 20 gramów nadać szybkość początkową 600 m/sek., musimy poddać ją działaniu siły

816 kg. wzdłuż lufy o długości 45 cm. Na przekrój kuli o średnicy 8 m/m (jak założyliśmy) wynoszący około $^1/_2$ cm² działać musi siła 816 kg. Więc na 1 cm² powierzchni wewnętrznej lufy będzie działała siła 2 × 816 kg. czyli około 1600 kg/cm² czyli 1600 atmosfer. Jest to ciśnienie średnie, przeciętne, trwające w idealnie pomyślanym wypadku przez cały czas pobytu kuli w lufie. Takich jednak idealnych warunków nie mamy w przebiegach spalania prochu w broni palnej. Tu ciśnienia są początkowo znacznie wyższe, potem w miarę posuwania się kuli w lufie, więc w miarę wzrostu objętości wypełnionej gazami, ciśnienie maleje i dochodzi przy końcu lufy do niewiele ponad 1000 atmosfer. Proch, który spalałby się w ten sposób, że utrzymywałby ciśnienie gazów na stałej wysokości, dozwoliłby na uzyskanie największej szybkości początkowej przy najmniejszym ładunku prochu i najmniejszej grubości, więc i wytrzymałości ścian lufy. Używane gatunki prochu zbliżają się mniej lub więcej do tej granicy. Najdalej odbiega od niej proch czarny.

(C. d. n.)



Z Rykowiska.

Pierwszy ma się ukazać numer „Łowca“ *) — pierwszy w Polsce — pierwszy pod znakiem pokoju, znakiem pracy do odbudowy życia naszego od jego najgłębszych podwalin powołanej. Budujmy i my, brać łowiecka, od podwalin — budujmy nasze łowiectwo. Małopolska słusznie dumną być może, mając możliwość rozwoju, mając znośną ustawę, łowiectwo jako część bogactwa krajowego uwzględniającą, rozwijaliśmy się.. rozwijaliśmy się świetnie — i wszystkośmy mieli: moc drobnego zwierza, zające, bażanty i inne... ilością wprawdzie Wielkopolska wyżej stała, lecz naszą cechą były knieje o zwierzu mieszanym, o niespodziankach — naszą cechą były knieje dzicze, czy to na podgórzu Karpat, czyściankach Podola, czy w borach północno - wschodniej części kraju. Mieliśmy jelenie i głuszce nizinne — mieliśmy kozicę w Tatrach — mieliśmy toki cietrzewie... i łów nad łowy... w lesistych Karpatach. Rykowiska nasze na świat cały sławne — nie wiem, czy jest kto z wybitniejszych myśliwych w Europie, któryby o Karpatach nie marzył, nie starał się choć raz w życiu być u nas na rykowisku Niemca, Anglika, Francuza, Holendra czy Włocha można było spotkać w połowie września na dworcu kolejowym w Stryju, a słowo „galizischer Hirsch“, „a carpathien stag“ były tą nicią magiczną do nas obcych ciągnącą.



I jeszcze z jednego dumni być możemy — z naszej kultury, etyki łowieckiej. Niemiec na to jedno ma słowo: „ein Waidmann“ — nie każdy jest „ein Waidann“ — nie każdy „myliwy“ jest „łowcem“, lecz u nas „łowców“ jest dużo. Z lisowickim zakonem na czele, Małopolska „łowców“ stworzyła — stworzyła polski język łowiecki od germanizmu i rusycyzmu wolny, stworzyła pojęcia łowieckiej moralności — nasze łowy nie są strzelaniem, nie dybią li tylko na życie zwierzyny — jeżeli sięgamy po złomek, jest w tem pietyzm, jest wdzięczność dla łowów, skarbnice piękna natury nam rozwierających... A zatem i sposób szlachetny jest łowów.

Lecz wróćmy do Karpat, do tematu, którego się dla pierwszego numeru „Łowca„ podjąłem, do karpackich jeleni. Biedne jelenie! Od granic Bukowiny do przełęczy łupkowskiej były rozsiedlone, zapuszczając się czasami i bardzo nizko w podgórza i docierając do Dniestru w miarę swego rozmnażania się. I niejedną miał myśliwy w kniei podkarpackiej, lub nawet nizinnej niespodziankę, gdy królewskiego głos posłyszał zwierza... i niejedną miał rolnik szkodę, gdy stada jeleni w różnych osiedlały się regionach. Szkody się płaciło, nadmiary łań regulowało się odstrzałem i dumni byliśmy ze stanu jeleni, dumni z kniei Tartarowa, Rafajłowej, Jasienia Perehińska, Wełdzirza, Polanicy, Skolego i wielu innych aż do najdalej zachodnich Wetliny i Komańczy.

Jakże to teraz wygląda? Z kniei nizinnych znikły jelenie kompletnie — do Dniestru już się nie zapuszczają, a granicą dla nich obecną tor kolejowy: Śniatyn — Stanisławów — Stryj — Sanok. Nie żałujmy jednak tego — to, co do Dniestru dochodziło wskutek przejelenienia w górach, były to łanie i młodzierz jelenia robiąca szkody a dla łowca bez wartości. Szkoda nam kniei podgórskich — niejedna tam perła była, z niejednej trofea łowieckie do pierwszorzędnych zaliczone być mogą. Wśród nich pierwsze miejsce zajmował Niebyłów dalej Rozhurcze, Suchodół, Lisowice i inne — bardzo rzadki dzisiaj tam jeleń. W Niebyłowie, skąd rok rocznie kilkanaście par wieńców wywożono, ryczał tego roku jeden, w Suchodole i Rozhurczu nie ubito nic, w Lisowicach niedobitki się kręcą. Najlepiej jeszcze dzieje się najwyżej. Tam między 1000 a 2000 m. niedostępne są zwierza komysze — tam potrafił on się uchronić, przetrwał wojnę światową, czas ukraińskich zamieszek, aby już w Polsce hejnałem zabrzmieć wrześniowym. Tam blizko granica węgierska, gdzie wojny nie było a gdzie morza nieprzebrane lasów, ostoje jeleni. I tam jednak nie wszędzie jednako — przestrzeń szczytów od Bukowiny do

*) Artykuł ten przeznaczony był do 1-go Numeru „Łowca“.

przełęczy łupkowskiej podzielić nam trzeba na strefy. Pierwsza od granicy do źródeł Prutu, to góry Czarnohorskie — tam stan jeleni nigdy nie był liczny — tam zapuszczał się łowiec, licząc, że mało co spotka, ale co spotka, to kapitalne — tam i dzisiaj jest mało, ale właśnie dlatego tak wybitnej nie odczuwa się różnicy. Najgorzej przedstawia się Strefa druga: od źródeł Prutu do Złotej Bystrzycy.

Knieje te ongiś prym wodziły — ubijali się o nie wszyscy arcyksiążęta i magnaci Austrji — dzisiaj mało co tam więcej, jak na wschód od Prutu — najgorsze tam boje były, najgęstsze okopy — to też zwierz częścią uległ wojnie, częścią w inne uszedł strony. Parę lat jeszcze minie, zanim okolice te znowu zasłyną z rykowisk Trzecia strefa najdłuższa i najlepsza: od Złotej Bystrzycy po Stryj. Punktem jej ośrodkowym, matecznikiem dzisiaj niejako jeleni, to Perehińsko, Wełdzirz i Sołotwina mizuska — pewnie, że i tam daleko do przedwojennej świetności, ale i dzisiaj jeszcze rykowiska tam świetnemi nazwać można i niejeden łup drogocenny z ostępów tych uwieść. Sławne dawniej Skole znacznie niżej stoi. Dalszych zachodnich obecnie nie znam kniei.

Mam wrażenie, że za późno stanąłem zeszłego roku w mojej kolebie na Jajku. Jest ona centrum rewiru dzierżawionego przezemnie od tat kilku w dobrach metropolitalnych Perehińska. Dopiero 18. września! Nie lubię przyjeżdżać tak późno — lubię użyć rykowiska — być na górze, gdy jeszcze cicho dokoła — usłyszeć pierwsze mruknięcie — dostrzedz pierwsze ruchy wśród rodu jeleni — napatrzyć się, nasłuchać, naoddechać górską swobodą! po to ja jadę — nie po to, by bawić dni parę, strzelić parę razy i wracać do miasta, rykowiskiem się chełpiąc. Nie można jednak było w tym roku prędzej się wybrać. Bolszewicy dopiero co byli ustąpili, w górach wyłapywano jeszcze resztki band Krausa, mówiono wiele o niebezpiecznych spotkaniach, dziwiono się, że wogóle się wybieram. Już dochodząc do koleby, słyszę kilkanaście jeleni w około — błąd jednak robię, bo natknąwszy się na bardzo rozbite kupało, siadam opodal i tracę czas, zamiast ryczące jelenie podchodzić. Błąd mści się zaraz, gdyż dwa dni następne tracę daremnie, kręcąc się w około góry Ukiernia, w której jednym zworze wykombinowuję staruszka jelenia. Słabem mruknięciem daje on znać o sobie rano i nie rusza się z klombu gęstego na zboczy, gdzie znikąd dla mnie nie ma dostępu — raz z góry, raz z dołu zachodzę — siedzę raz 10 godzin na przeciwległej zboczy, mimo odzywających się kilku innych w pobliżu — cierpliwość nie jest niczem wynagrodzoną, gdyż z klombu wychodzą tylko dwie łanie. Trzeci dzień również tak tracę, dopiero wieczór do koleby wracając, przypadkiem dochodzę do strzału — przypadkiem i nie przypadkiem: jelenia tego słyszałem codziennie od pierwszego wieczora, lecz głos ten mnie nie nęcił — stanowczo młody jeleń — teraz jednak stanowczo miał pecha, gdyż ryczał przy płaju, którym szedlem do koleby. Nie zbaczając z płaju, nie podchodząc wcale, spotkałem się z nim na halawie szczawów i ku wielkiemu zdumieniu naliczyłem sześć końców w koronach — ta ilość rozgrzesza i po chwili stałem nad leżącym ośmnastakiem. Nie myliłem się poprzednio — młody to był całkiem, a ilość końców odbija się ujemnie na wadze i wymiarach wieńca. I dzień za dniem mi tak schodził — spotkania i niepowodzenia przeplatały się nawzajem — spotkań miałem dużo, ale nie chodzi mi już o strzały — napatrzeć się, to większa przyjemność. Przez dwa tygodnie pobytu miałem na strzał dwadzieścia jeleni — strzelałem do trzech. Oprócz wzmiankowanego ośmnastaka mam wieniec szesnastaka, również nie szczytnich marzeń, ale faute de mieux... I do błędów przyznać się trzeba — chybiłem szesnastaka, bardzo pięknego, o czarnych grubych rogach — a raczej nie chybiłem, ale nieszkodliwie postrzeliłem w krzyż (Krellschuss) — ciemna to plama na tle tegorocznego rykowiska. Najjaśniejszym zaś momentem, spotkaniem jednem z takich, jakie życie już całe w oczach stać będą, to spotkanie z niedźwiedziem: 26-go wyszedłem o szóstej rano z moim strażnikiem łowieckim, moim strzelcem i trzema chłopcami, aby czynić poszukiwania za postrzelonym parę dni przedtem szesnastakiem. Ranek trochę chłodniejszy, dołami przymrozek. Idę kilkanaście kroków przed ludźmi płajem, brzegiem potoka Mszanka i raptem słyszę psykanie chłopców idących gęsiego — ostatni z nich dostrzegł niedźwiedzia schodzącego przeciwległą zboczą, zrębem malinami porosłym, do potoka. Mogę strzelać albo w duży kwadrat łba, lub w grzbiet, lecz wolę czekać na lepszą chwilę. Niedźwiedź idzie pomału — duża czarna sztuka — zatrzymując się co chwila, objadając maliny i strącając kamienie w dół do potoka. Nad samą wodą klomb smerekowy, w którym mi się chowa o sto kroków odemnie — dopuszczam do tego, chcąc się ruszyć i wygodniejszą do strzału pozycję obrać — siadam też wygodnie, ręce wspieram na kłodzie i teraz muszę strzelić już matematycznie, w którąkolwiek on stronę z klomba wyjdzie. Lecz dużo jeszcze potrzebuję cierpliwości — niedźwiedź pozostaje w klombie trzynaście minut — wyłazi wreszcie, wysuwa mi się powoli na połeć i dostaje kulę w komorę — szarpnęło nim tylko i znikł mi w potoku, lecz widzę z kierunku, że wyjedzie na płaj kilkadziesiąt kroków przedemną — puszczam się więc kłusem i w domniemanem miejscu spotykam się ze zwierzem oko w oko na kroków trzy — ryknął doniośle, i widziałem w jego oczach, że gdybym był się sekundę spóźnił ze strzałem, byłby wykonał atak na mnie — czy na czterech czy na dwóch łapach, tego już nie chciałem eksperymentować i posłałem mu drugą kulę w sekundzie dostrzeżenia go i jego ryknięcia. Zwalił się, rycząc jeszcze i pazurami rwąc ziemię...

Rykowisko na ogół było specjalnie w moim rewirze złe z powodu upałów, ciepłych wiatrów południowych, a właśnie najlepsze stoki mam do południa. Jelenie odzywały się bez systemu, kręciły się, wciąż szukając chłodu, a wiele z nich przeszło na chłodniejszą stronę do sąsiedniego Wełdzirza. Nie lubię w ogóle rykowisk, na których człowiek nie marznie.

Wysuczka, 1/IV. 1921.

C. C. G.



Na głuszca.

Lwów, kwiecień 1921.

Dobry ten, skracający odległości, Stephensona wynalazek, którego stulecie za trzy lata świat będzie obchodził, ale tylko wtedy, gdy wszystko, co dlań potrzebne, jest w porządku. Kiedy jednak jedzie się parowozem, nadającym się do zasłużonego wypoczynku, albo dłuższej, niezbędnej kuracji, odległości zamiast się skracać, znacznie się wydłużają. Żadne zaklęcia nie pomogą, nawet to nasze rodzime „psia krew"! Tak ze mną się działo, gdy zaproszony telegraficznie przez Zarząd dóbr Skolskich wybrałem się 19. kwietnia we wtorek do Tuchli w nadziei, że o 12. w nocy będę w Libochorze, a o 4-ej rano na najwyższym szczycie w Skolszczyźnie, Magórze (1365 m) by, nazwijmy rzecz po imieniu, wykorzystać chwile słabości i upojenia wśród weselnych zalotów największego z naszych tetragonów, przypatrzeć się tokowisku i z łupem myśliwskim 18 piór we wachlarzu, powrócić do domu.

Chronicznie chory parowóz odmawia zaraz za Stryjem posłuszeństwa, stoimy w polu 3 godziny, dopiero po zlużowaniu go odjeżdżamy po 3-ej rano do Tuchli, a o $4^1/_2$

do Libochory. Noc cudownie piękna, mały przymrozek. Wkrótce jednak nagle wszystko się zmienia, przez szczyty górskie przewalają się obłoki chmur, wszystko tonie i ginie we mgle, a z chwilą, kiedy dojeżdżamy do gościnnego dworku zarządcy libochorskiego rewiru, wita nas jednostajny szelest niteczek deszczowych. Zamiast iść na Magórę, kładziemy się spać, a dopiero o 4 popołudniu docieramy wozem do t. zw. klauzy pod Magórą. Stąd jedziemy obaj z zarządcą p. Metzlerem konno, za nami cały orszak z tobołkami i bronią prowadzi podleśniczy; pochód zamyka mój ordynans, który przyzwyczajony do nizinnego bytowania na piaskach w kieleckim, towarzysząc mi w moich wycieczkach górskich, zazwyczaj w pochodzie tworzy ogon.

Wśród deszczu pniemy się pod górę; wierzchowce nasze, zwłaszcza ulubiona czteroletnia klaczka Zorka, na której jadę, po oślizłej z deszczu ścieżce z nadzwyczajną pewnością siebie stąpa pod stromą górę, biorąc zwinnie i zgrabnie wszelkie przeszkody w wywrotach, zagradzających drogę. Bardziej od deszczu dokuczają mokre kiście świerków, które niemiłosiernie tną po twarzy, darząc nas wspaniałomyślnie całym zasobem swej wilgoci. Po szczytach gór mkną pierzaste, białe opary, nie wróżące wcale pogody; nad nami chmury ołowiane, szare. W tym deszczowym usposobieniu, wśród którego świat cały tak beznadziejnie szary wygląda, dojeżdżamy do przełęczy zw. Szczawina. Tu już musimy rozstać się z końmi, bo droga prowadzi przez śniegi, leżące gdzieniegdzie na głębokości $1^1/_2$ m. Zamiast deszczu pada śnieg i tak wielkimi płatami, jakich dotąd nie widziałem. Płaty te miały najmniej około 7 cm. średnicy. Piechotą powoli posuwamy się ku szczytowi, śniegi wytrzymują nasz ciężar, gdzieniegdzie czasem któryś z nas się zapada, a idący za nim skrzętnie omijają to miejsce. Przemoczony miejscami do nitki mimo futra w skrytości ducha wzdycham już do domku myśliwskiego, w którym mamy nocować. Nareszcie koło godz. 8-ej wieczorem jesteśmy na szczycie Magóry w schronisku. Niestety i tu doznajemy bardzo przykrej niespodzianki.



Wskutek nieostrożności narciarzy część dachu nad domkiem spalona. Kto tylko sobie uprzytomni, czym na szczycie górskim jest taki domek, czy to dla myśliwego, czy dla turysty, lub narciarza, musi się oburzyć na lekkomyślne postępowanie tych panów, którzy rozpaliwszy ogień w piecyku, nie uważali za swój obowiązek zagaszenia go przed opuszczeniem schroniska. Jestto lekkomyślność nie do darowania, Chciałbym, by powyższe słowa dotarły do najszerszych kół wszystkich wycieczkowców z prośbą, by nie uważali, że domek, czy schronisko spełniły już swe zadanie z tą chwilą, kiedy je opuszczą, lecz, że jeszcze innym powinny służyć, oraz, by większą uwagę i ostrożność stosowali przy rozpalaniu ognia w piecyku, a zwłaszcza gaszeniu go z chwilą opuszczenia schroniska. Jestto prośba wystosowana w imieniu wszystkich, którzy kiedykolwiek mogliby znaleść się w tym samym położeniu, że zamiast czterech suchych kątów, znajdą ich tylko dwa i przez godzinę nie będą w stanie rozpalić ognia, gdyż cały piecyk ociekał z wody.

Po rozpaleniu ognia szuszymy się przy nim, a każdy z nas wygląda jak dymiący kocioł.

W suchych kątach rozścielamy świerczyznę i układamy się do snu.

O godzinie $3^1/_2$ rano z zarządcą i podleśniczym po głębokim śniegu, wśród deszczu zdążamy stromą zachodnią ścianą Magóry na miejsca godów głuszcowych. Gdy przed kilku dniami tutaj las cały rozbrzmiewał — wedle opowiadania moich towarzyszy — w kilkunastu miejscach miłosną pieśnią tego wiośniannego barda szczytów górskich, lub głębokich puszcz, dzisiaj słychać tylko wiatr, który wodzi się szumem wśród wonnych świerków, słychać szelest deszczowych kropli, które gałęź podaje gałęzi, by je w końcu cisnąć o ziemię; a po pewnym czasie słychać rozbrzmiewającą, zrazu pojedynczą i urwaną, a następnie coraz gorętszą a nieraz chóralną pieśń drozdów. W te głosy wsłuchani staramy się uchwycić inne bardziej pożądane dźwięki. Moi towarzysze zapewniają, że z dołu dochodzi ich głos głuszca, biegniemy, względnie, prawdę mówiąc, zesuwamy się na własnych sankach po stromej ścianie na małą dolinkę. Chwilę podsłuchujemy... i mnie tu nareszcie dochodzi głos, jakby dwukrotnego uderzenia patyczków o siebie; między uderzeniami następuje jednak przerwa; po chwili słyszymy jak z dwu świerków głuszce po charakterystycznym trzepaniu w znacznej od nas odległości zjeżdżają.

Nie wiem jaki powód, czy niepogoda, czy może rację ma twierdzenie zarządcy, że już po tokowisku, dość, że zabiegi nasze w różnych miejscach, by dojść do takiej odległości, z którejby można w skokach podchodzić, są bezowocne.

Głuszce ustawicznie zmieniają świerki, przenosząc się w coraz to inne miejsca, pieśń ich nie jest ciągła, ale urywana, rzucająca nam tylko okruchy swe we fragmentach, którym brak środka t. j. głównego uderzenia, brak końca.

Kur wcale nie widać — wedle twierdzenia zarządcy siedzą już znacznie niżej, w gniazdach, na jajach, co także jest objawem końca tokowiska.

Gdy tak się zastanawiamy, analizując wszystkie nasze spostrzeżenia, z daleka, dla odmiany z góry, dochodzi nas jakby kilkakrotne krektanie, a to w kierunku naszego schroniska. Teraz w całej pełni zaznaczył się zmysł strategiczny starego praktyka, zarządcy Metzlera. Nie prowadzi nas wprost pod górę, ale oddalając się, dobry kawał o 200 metrów w kierunku dotychczasowym, wyprowadza nas w znacznej odległości stromą ścianą na górną równinkę, leżącą ponad nami. Tą równinką podbiegamy spiesznie w kierunku odwrotnym, a po odbyciu tej samej drogi do miejsca, skąd w dole dosłyszeliśmy głuszca, posuwamy się bardzo ostrożnie, od drzewa do drzewa. Po chwili, choć kryci małym pagórkiem, moi towarzysze padają na śnieg, ja za nimi. Patrzę, przed nami na 80 kroków na tej samej równince z rozłożonym wachlarzem, wyciągniętym i nastroszonym kołnierzem, z głową w górę podniesioną, ze skrzydłami do pół spuszczonymi, posuwa się bard-głuszec ku nam po śniegu na prosty sztych z ostat-

nim fragmentem dosłyszanej jeszcze pieśni. Nie strzelam, czekając na ciąg dalszy, ale głuszec powoli robi zwrot w prawo, z wielkiego maleje, ściąga wachlarz, ściąga skrzydła. Majestat, do którego doprowadza go upojenie w pieśni, znika i czy nas dojrzał, czy ostatni ruch nasz uchwycił, z kończącą się pieśnią, sam ma zamiar zniknąć, przygotowując się do odjazdu. Lecz gubi go zbyt długie rozważanie, a może i on wysłuchuje, choć z innych pobudek, czy gdzie nie odezwie się rywal. Pada strzał — kogut, trzepiąc skrzydłami z zawrotną szybkością, stacza się po ścianie, za nim stacza się podleśniczy z tą samą szybkością. Kilkakrotnie zmieniają rolę, raz kogut, to znów podleśniczy jest na przedzie, wkońcu kogut zatrzymuje się wplątany w krzak. Podleśniczy mija go. Wypatrzywszy go jednak nad sobą, powraca i podnosi tryumfalnie dogorywającego koguta. (Dok. nast.)

DR. J. KALM-PODOSKI.

O psach rasowych i rasach psów.

Nie będę nudził Czytelników długimi uczonymi wywodami. Celem tej skromnej pogadanki, to rozbudzenie zainteresowania zacnych kolegów w St. Hubercie dla tego najszlachetniejszego, najinteligentniejszego i najwierniejszego ze zwierząt domowych, jakim jest pies, a szczególnie pies myśliwski.

Jako długoletni przewodniczący Austryackiego Związku Kynologów (Oester. Kynologen-Verband), który łączył w sobie wszystkie (35) Stowarzyszenia kynologiczne Austrji, miałem sposobność gruntownie poznać kwestję hodowli psów, nie tylko na miejscu, lecz także i zagranicą na wystawach i kongresach, w których oficjalnie brałem udział. Stąd przypisuję sobie pewną maleńką dozę kompetencji w tym dziale, czem się chętnie z czytelnikami podzielę.

Praca moja niestety nie będzie bez luki, a to z tego powodu, że bibljoteka moja przepadła; brak mi zatem przedewszystkiem statystycznych i historycznych dat i klisz, których sporą kolekcję posiadałem. Zostało mi ledwie kilka ksiąg rodowodowych i pamięć, na której przeważnie oprzeć się muszę.

Na wstępie serdecznie podziękować muszę p. Albertowi Mniszkowi za łaskawe dostarczenie mi niektórych brakujących materjałów, bez których niebyłbym mógł podołać tej pracy.

Dziwna rzecz, u nas w Polsce panował zawsze jak się zdaje, pod względem hodowli psów najstraszniejszy dyletantyzm. W licznych podróżach po kraju spotykałem wprawdzie wielu pasjonowanych amatorów psów; amatorstwo to kończyło się jednak najczęściej na kupieniu jednego albo kilku ładnych psów zagranicą, najczęściej bez dowodów pochodzenia. Dalszą hodowlę, jeżeli o takiej może być mowa, zostawiało się przeważnie losowi, albo hodowano bez systemu, krzyżując na prawo i lewo, bez wyboru, bez ksiąg rodowodowych.

Skutek tego jest, że wprawdzie widuje się tu i ówdzie ładnego psa, ale o rasowości jego nie można się przekonać.

Co to jest rasa, co jest pies rasowy?

Definicja naukowa powiada: Rasa jest to zespół indywiduów jednego rodzaju (w naszym wypadku rodzaj psi, canis familiaris), posiadających te same charakterystyczne, dziedziczne właściwości, czyli cechy fizyczne i psychiczne.

Najważniejszą w tej definicji jest dziedziczność. Dziedziczność jest jedyną gwarancją utrzymania się rasy. Obok bowiem cech zewnętrznych, które na pierwszy rzut oka zdradzają częściową conajmniej przynależność do pewnej rasy, każda rasa posiada bardzo charakterystyczne i nieraz ekskluzywne cechy duchowe czysto dziedziczne i nie dające się tresurą wpoić, które wobec prawie wyłącznie duchowego rodzaju usług żądanych od psa, stanowią właśnie główną wartość każdej rasy.

Pies rasowy zatem jest to taki pies, który posiada wszelkie charakteryczne znamiona swojej rasy, odziedziczone po ojcu i po matce już jako dziedziczne, czyli, że ojciec i matka musiały tak samo dziedziczyć te znamiona po ojcu i matce i t. d. ad infinitum. Psem rasowym mogę tedy nazwać tylko takiego psa, który nietylko posiada wszelkie charakterystyczne znamiona swojej rasy, ale i udowodnić może, że je po ojcu i matce, dziadkach i babkach i t. d. odziedziczył, a nie przypadkowi zawdzięcza. O dowodzie tym pomówimy później.

Doświadczenia naukowe wykazują, że w razie krzyżowania dwóch różnych ras, 25% potomstwa dziedziczy przeważnie po ojcu, 25% po matce, zaś 50% jest mieszańców bez rasowych cech. Nie należy tego tak rozumieć, że z czterech szczeniąt po foxterrierze i jamniczce, musi być jeden fox, jeden jamnik, a dwa kundysy. Powyższa reguła jest przeciętną statystyką z kilkuset wypadków systematycznego krzyżowania i wykazuje, co się ryzykuje, używając do hodowli psów nieczystej rasy.

Wiadomo też — powołam się tu na doświadczenia hodowców koni — jak niektóre właściwości, aż w trzeciem, czwartem pokoleniu się odradzają, jak n. p. siwizna u koni.

Dowodem tego są najmłodsze rasy psów: doberman i pudelpointer. Tym rasom brak po dziś dzień absolutnie jednolitego typu. U dobermanów n. p. jak dowodzi Dr. Hock można znaleść regularnie u sześciu szczeniąt jednego rzutu, sześć typów uszów i sześć typów ogona, od korkociąga mopsa do chorągwi setera. Z tego powodu utrzymał się u tej rasy zwyczaj obcinania nietylko ogona ale i uszu, pomimo że obcinanie uszu obecnie według kodeksu sportowego jest niedopuszczalne, a w Anglji nawet ustawą zabronione. Psy z obciętymi uszami są bezwarunkowo wykluczone od importu do Anglji.

Czystość pewnej rasy utrzymać się tylko może, jeżeli się z hodowli bezwarunkowo wykluczy nietylko indywidua innej rasy, ale nawet takie, których pochodzenie jest wątpliwe. Dobroć zaś rasy utrzymuje się selekcją, czyli dobieraniem do hodowli najlepszych pod każdym względem i wypróbowanych egzemplarzy, a wykluczeniem wszelkiej miernoty. (Ciąg dalszy nastąpi).



Korespondencje.

—

Rudnik, p. Nisko.

Stan łowiectwa w powiecie bardzo smutny. W naszej leśnej okolicy polowań na drobną zwierzynę właściwie nie było. Za to podjazdy na rogacze przez wojnę zupełnie zniszczone. W Rudniku, gdzie przed wojną roczny odstrzał wynosił 60—80 rogaczy, jest dziś razem wogóle po 5 letniem szanowaniu zaledwie sto kilkadziesiąt sztuk. Stan jeleni wskutek wojny i kłusownictwa w roku 18/19 bardzo się zmniejszył. Lisy, których przed wojną było bardzo dużo, wyzdychały na parchy, przypuszczalnie wskutek żywienia się trupami ludzkimi i końskimi, gnijącymi po lasach. Jedyną stałą zwierzyną u nas są dziki, których stan raczej się powiększył. Kłusownictwo obecnie znacznie mniejsze. *St. Łazanowski.*

* * *

Stanisławów, w marcu 1921.

Towarzystwo Myśliwych w Stanisławowie zawiązane w roku 1880 przez grono myśliwych z śp. Zbigniewem Cieńskim na czele.

Prezesowali następnie śp. dr. Alfred Beill i Włodzimierz Mańczewski. Obecnie Prezesem jest Adam Gorecki. Przy niewielkich zmianach osobistych w składzie członków, przetrwaliśmy okres zawieruchy wojennej.

Towarzystwo oparte na bardzo surowych zasadach myśliwskich, dzierżawi kompleks dziesięciu gmin i jednego obszaru dworskiego.

Prawie wszystkie rewiry zamknięte stale dla polowań luźnych na zające. Poluje się tylko wspólnie — raz do roku, w każdym rewirze. Zwierzyną ubitą dzielą się obecni, bez względu na to, co kto ustrzelił. Nadwyżka jest deponowaną na rzecz Towarzystwa.

Polowanie z psem na zające, dozwolone tylko w kilku gminach, w których niema warunków rozwoju zwierzostanu i to z bardzo daleko idącymi ograniczeniami. Ilość członków ograniczona do liczby 18.

Wyniki polowań przed wojną, jak na polowania gminne, nienajgorsze. Maksymalny rozkład z roku 1912, w 16 strzelb, 105 zajęcy i 14 lisów na jednem polowaniu.

Towarzystwo zdołało utrzymać prawie wszystkie swoje rewiry, przy stanie prawie że zupełnej dewastacji. Kilkakrotne, rozmaite inwazje, pozycje bojowe i t. p. wyniszczyły bardzo zwierzynę. Dążenia do poprawy zwierzostanu, przez sprowadzenie zajęcy, w tym roku, z bardzo wielu przyczyn, nie udały się. Staraniem jednak będzie, przy ustaleniu się choć trochę stosunków — doprowadzić rewiry do pierwotnego stanu. Każdy znający się na myśliwstwie, zrozumie, jak trudną jest gospodarka na chłopskich zagonach — ile wysiłku, kosztów i trudów potrzeba, by zwierzynę zaszanować, zwłaszcza, że często zwalczać należy i brak etyki myśliwskiej, rozmaitych sui generis myśliwych.

Ile zmartwienia dla prawdziwych myśliwych da taki „Pan“, który, sobie tylko znanymi sposobami, zdołał wydurzyć od chłopów — rewir położony w środku kompleksu — by w styczniu strzelać kuropatwę na śniegu, bo to bardzo praktycznie, łatwo, no i mięsa jest na jeden strzał dosyć — co przy dzisiejszej drożyźnie nabojów — nie jest małej wagi.

Ale cóż robić, tak to już dziś na świecie woina pozbawiła ludzi etyki. Ty zapaleńcze myśliwy hoduj, sprowadzaj, ochraniaj przez szereg lat, a ja będę strzelał, bo „dziś“ i mnie się ta „pańska“ przyjemność należy, no i mam na to, bym mógł udawać myśliwego — tem bardziej, że nikt jakoś nie patrzy na palce!

O stosunkach ogólnych napiszę osobno — w następnej korespondencji.

W sezonie ubiegłym polowało towarzystwo parę razy — ogromnie oszczędnie ze względu na zły stan zwierzyny.

Najwyższy rozkład 48 zajęcy i 4 lisy. Oprócz tego polowano w lutym na lisy. Padło ich ośm. Polowania te trochę nam humory poprawiły, gdyż pokazało się, iż w rewirach jest trochę zajęcy i mamy nadzieję, że przy dalszej oględnej gospodarce stan się znacznie poprawi. Wielką trudność sprawia dziś kwestja tępienia szkodników. Cena naboju — no i broni dla straży uniemożliwia wprost tę akcję — tem bardziej, o ile ona ograniczy się tylko do pewnych rewirów, a nie będzie ogólną. A nie każdy z „myśliwych“ uznaje ją za potrzebną.

Koniecznem jest mianowanie delegata, któryby chciał zająć się wieloma sprawami *).

* * *

Nadwórna, w maju 1921.

Towarzystwo łowieckie w Nadwórnie, które jeszcze przed wojną się ukonstytuowało, istnieje jeszcze dotychczas i składa się z 20 członków.

Wynik polowań w minionym sezonie zimowym, był z powodu bardzo słabego stanu zwierzyny, mniej niż skromny.

Stan zwierzyny z powodu wypadków wojennych zmalał do minimum, albowiem wojska tylekroć w rozmaitych kierunkach przeciągające, płoszyły i wybijały zwierzynę, gdzie się tylko dało. Zwłaszcza ucierpiał stan sarn, dawniej w rewirach podgórskich bardzo silny, dziś zaledwie po kilka wynędzniałych niedobitków liczący.

Stan zajęcy zmniejszył się też z powodów naprowadzonych znacznie. Stan jeleni dawniej na podgórzu średni, znikł obecnie zupełnie. Jedynie jeszcze w górach t. j. w rewirach nad Bystrzycą i Prutem utrzymały się jelenie, których stan jeszcze zmalał znacznie, ale wskutek odpowiedniej ochrony podnosi się z roku na rok.

Również w rewirach górskich ukrywa się jeszcze rzadki już dzisiaj niedźwiedź i ryś.

Dzików rozmnożyło się w czasie wojny we wszystkich rewirach tutejszego powiatu bardzo wiele, a zwłaszcza w rewirach o drzewostanach bukowych i dębowych.

Lisów namnożyło się również wiele, jednakowoż z powodu wysokich cen futer i rozwielmożnionego kłusownictwa, wybijane bywają nadmiernie i stan ich w ostatnim roku zmniejszył się.

Kłusownictwo przybiera w tutejszym powiecie **zastraszające rozmiary,** albowiem każdy powróciwszy z wojny, gdzie nauczył się obchodzić z bronią, uważa się za dobrego strzelca i stara się nabyć prawo polowania, lub, gdy to z powodu wygórowanych czynszów dzierżawnych jest dla niego niemożliwe, kłusuje i to głównie **z karabinem wojskowym**, **których jest po kilkanaście w każdej gminie.** To jest jednym z głównych powodów braku zwierzyny, jak również i to, że ludzie, nie mający zupełnie pojęcia o hodowli i ochronie zwierzyny, powodowani zyskiem, starają się o zadzierżawienie wolnych polowań i wybijają zwierzynę doszczętnie.

Obszary dworskie, które są głównie w rękach żydowskich, pozwalając swoim pobereżnikom dla zysku wybijać lisy, niszczą także stan sarn, tak, że na obszarze 4.600 morg. lasu w zimie było zaledwie trzy sztuk.

Wobec takiego stanu rzeczy, ażeby resztki niewybitej zwierzyny uchronić od zupełnej zagłady, **należałoby u Władz kompetentnych wyjednać bezwzględną ochronę sarn w rewirach, gdzie ich jest bardzo mało,** zarządzić tępienie kłusownictwa, ograniczyć wydawanie zezwoleń na noszenie broni i kart myśliwskich. zaś polowania wydzierżawiać tylko tym, którzy się wykażą dostateczną znajomością ustaw łowieckich i dają odpowiednią rękojmię prawidłowego wykonywania łowów.

Delegaci Małopolskiego Towarzystwa łowieckiego w Nadwórnie.



*) Mianowani delegaci są w tym numerze wymienieni. — Red.

Sprawy Towarzystwa.

Okólnik Namiestnictwa z 30. kwietnia b. r.

Do wszystkich starostw w Małopolsce. Starostwa Spisko-orawskiego w Nowym Targu, Magistratów kr. stoł. m. Lwowa i Krakowa.

Małopolskie Towarzystwo łowieckie we Lwowie pismem z 18. b. m. L. 51/1921 odniosło się do Namiestnictwa z zażaleniem, że nie wszystkie Starostwa stosują ściśle postanowienia ustawy z 13. lipca 1909 Nr. 2 dz. ust. i rozp. kraj. z r. 1910, o policji łowieckiej, wskutek czego grozi zupełne wybicie i wyniszczenie zwierzyny w kraju, a w ślad zatem upadek tak ważnej gałęzi gospodarstwa krajowego, która winna przynieść korzyść społeczeństwu w postaci mięsa, skór i pierza.

Polecam przeto Starostwu (Magistratowi) wydać natychmiast stosowne zarządzenia, co do nadzoru i ochrony polowania, tak w okręgach samoistnych, jak i spółek łowieckich, jak również celem ścisłego przestrzegania przepisów policji łowieckiej i o ochronie zwierzyny §§ 40–59 ustawy łowieckiej. Przekroczenia ustawy łowieckiej, należy karać surowo w granicach obowiązujących przepisów, a w razie stwierdzenia kłusownictwa (kradzieży zwierzyny) odstępować bezwłocznie sprawę właściwemu sądowi.

Gen. delegat rządu Dr. Gałecki m. p.

* * *

Oznajmiam, że reskryptem tut. z dnia 1. kwietnia 1921 r. L. 3896 w porozumieniu się z Wydziałem powiat. w Rzeszowie i Jaśle, zamknąłem prawo polowania na zające do dnia 31. stycznia 1922, oraz na kozły do dnia 28. lutego 1922 r. w następujących obszarach gminnych i b. obszarach dworskich powiatu: Markuszowa, Lutera, Bonerówka, Godowa, Wysoka, Tropie, Grodzisko, Łętownia, Żarnowa, Brzeżanka, Strzyżów, oraz Przedmieście Strzyżów.

Starosta, *Skarzyński.*

* * *

Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zamianował w dalszym ciągu następujących delegatów:

Horodenka: Romuald Bohosiewicz, Juljusz Passakas.

Stanisławów: Adam Gorecki, Juljusz Salwach, Marjan Jaroszyński.

Kamionka strumiłowa: Ludwik Astanowicz.

Dolina: Stanisław Schindler, Jan Marcinków, Artur Gretschel.

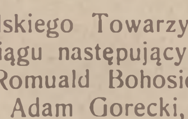
Stary Sambor: Roman Ćwierzewicz, Aleksander Janota Bzowski.

* * *

Wydział uprasza o wyrównanie zaległych i bieżących wkładek. Wkładka na rok 1921 wynosi 300 Mk. Przyszły numer „Łowca“ zalegającym z wkładkami członkom nie będzie wysłany.

* * *

Od Redakcji. Upraszamy usilnie Członków naszych o artykuły i korespondencje. Korespondencja Dr. M. z Gródka pojawi się w przyszłym numerze.



Program i Regulamin

popisowego strzelania uczestników XX. Zjazdu łowieckiego w dniu 11. czerwca 1921. o godz. 2·30 na Strzelnicy wojskowej.

I. Strzelanie z pistoletów i rewolwerów o jedną nagrodę (odbędzie się, o ile najmniej trzech do strzelania się zgłosi)

II. Strzelanie kulami do tarczy stałej na 100 kroków o 2 nagrody

III. Strzelanie kulami przez lunety na 200 kroków o 2 nagrody

IV. Strzelanie kulami do tarczy ruchomej (dzik) na 100 kroków o 2 nagrody

V. Strzelanie kulami do tarczy ruchomej (lis) na 100 kroków o 2 nagrody

VI. Strzelanie śrutem do rzutków glinianych o 2 nagrody.

VII. Strzelanie „Zwycięzców" o nagrodę mistrzowską, (ofiarowaną przez p. M. Jaroszyńskiego).

Nagroda ta stanie się własnością tego, kto ją rok po roku dwa razy wygra. Biorą tu udział tylko zdobywcy pierwszych nagród w tegorocznym strzelaniu, prócz strzelania I. o ile są **członkami Małop. Tow. łow.** przynajmniej od 1-go stycznia 1921 r. Każdy daje po jednym strzale do ruchomego dzika, lisa i rzutka. (Broń: trzylufek lub sztuciec, względnie karabin i śrutówka). Zwycięzcy przysługuje tytuł mistrza. Nagroda staje się jego **ograniczoną własnością** z obowiązkiem zwrócenia jej przed następnym Zjazdem M. T. Ł. do rąk Komitetu popisowego strzelania.

§. 1. Do strzelania III. i V. są uprawnieni tylko członkowie małop. Tow. łow. W innych strzelaniach biorą udział członkowie Towarzystwa i osoby przez Towarzystwo zaproszone.

§. 2. Zgłoszenia do strzelań przyjmuje Komitet na miejscu urzędujący. Wpisowe do każdego strzelania wynosi 100 marek.

§. 3. W strzelaniach kulowych dozwoloną jest wszelka broń myśliwska bez gukierów, również dopuszczalny jest karabin wojskowy używany w armii polskiej.

§. 4. Kwalifikację do uzyskania nagrody w strzelaniach I. II. i III. daje najwyższy iloczyn uzyskany ze sumy trafionych punktów, pomnożonej przez liczbę trafnych strzałów. W strzelaniach IV. i V, rozstrzyga suma uzyskanych punktów. Kula trafiająca dwa pola liczoną będzie na korzyść strzelającego.

§. 5. W strzelaniach IV. V. i VI. odpadają od dalszego udziału, jeżeli po pierwszych ich strzałach obliczenie wykaże że żadnej już nagrody uzyskać nie mogą.

§. 6. W strzelaniach I. II. III. IV. i V, daje każdy ze strzelających 5 strzałów, a przy strzelaniu VI. 10. strzałów po sobie następujących.

§. 7. W strzelaniu VI. chybiający dwa rzutki bezpośrednio po sobie odpada od dalszego strzelania. Rzutek musi być rozbity w locie.

§. 8. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki, z wyjątkiem strzelania III. (lunety), przy którem oparcie lufy w sposób przez Komitet wskazany, jest dozwolony.

§. 9. Biorący udział w strzelaniach do tarcz stałych muszą dać swe strzały w przeciagu 5 minut. Strzał dany po sygnale oznaczającym koniec strzelania, unieważnia dane strzelanie. W strzelaniu IV. i V. wolno złożyć się przed okazaniem się tarczy.

§. 10. Jeżeli nabój nie wypali, można użyć nowego, jeżeli jednak broń zawiedzie z winy strzelającego (nieotworzenie bezpiecznika, lub kurka) strzał nieoddany uważa się za chybiony.

§. 11. Dublowanie do krążka jest dozwolone, wpływa jednak ujemnie na kwalifikację, gdyż przy równej ilości trafionych rzutków rozstrzyga liczba danych strzałów. Do jednego rzutka wolno strzelać tylko dwa razy.

§. 12. Uczestnicy strzelania poddają się bez zastrzeżeń regulaminowi i zarządzeniom Komitetu pod rygorem wykluczenia z udziału w konkursie. O przyznaniu nagród w kwestjach spornych rozstrzyga nieodwołalnie sąd rozjemczy, wskład którego wchodzi Wydział Towarzystwa i osoby doń przez Wydział Towarzystwa zaproszone.



KONKURS
na dzierżawę polowań

ogłasza

Zarząd Okręgowy Lasów Państwowych w Siedlcach, w drodze przetargu,

na czas od 1. czerwca 1921 do 1. czerwca 1927 r., w lasach państwowych, należących do nadleśnictw: Ostrołęka, Nowogród, Myszyniec, Ostrów, Jegiel, Suwalskiego, Augustowskiego, Szczebro Olszańskiego, Podmiejskiego, Łuków, Włodawa, Mielnickiego, Parczew, Janów-Biała, Czarna-Wieś, Knyszyn, Sokółka, Krasnopolskiego, Lipniki, Grajewo i Hołody.

Przetarg odbędzie się wyłącznie zapomocą zapieczętowanych ofert pisemnych, które należy składać w Zarządzie Okręgowym Lasów Państwowych w Siedlcach, najdalej do 25. maja 1921 roku.

Oferty winne być zaopatrzone 10 m. stemplem i poręcznem (wadjum) w wysokości nie mniejszej jak połowa zaofiarowanego czynszu rocznego, złożonego na depozyt Zarządu Okręgowego Lasów Państwowych w Siedlcach do Kasy Skarbowej w Siedlcach.

Szczegółów dotyczących warunków dzierżawy udziela Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych w Siedlcach i właściwe Nadleśnictwo.



Redaktor odpowiedzialny: Rudolf Wacek.
Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14.